

cheński, który w „Rzeczy o psychice narodu” pisał:

Wytworzyła się nowa postawa psychiczna, nowy model Polaka romantyka i niepodległościowca. Przyniósł on nam powstania 1830 i 1863 i upadek, skutkiem tych powstań, zarówno własnej państwowości jak i nadziei na jej odbudowanie.

Polska historia roi się od straceńczych generałów, ma zaś w pogardzie tych dowódców czy przywódców, którzy licząc siły i nie decydując się na beznadziejne szarże odlewali ostateczną klęskę. Stawia bohaterów, którzy swym szaleństwem ścigali na nas nieszczęścia, zdrajcami zaś nazywa tych, którzy nie sprzeciwiając się niepodległościowym dążeniom wzywali do rozważliwej i wyczekiwanej na lepszą sposobność. Historia pamięta o generale Ignacym Prądzyńskim, trzydniowym wodzem naczelnym Powstania Listopadowego, ale zapomniała mu, że był projektantem i budowniczym Kanału Augustowskiego.

Nawołując do racjonalizmu i do pozbawionego emocji spojrzenia na zawinioną przez nas samych niefortunność naszych losów, sam, być może, ulegam starej polskiej chorobie, która polega na niemożliwości odczytania i oceny teraźniejszości bez spojrzenia na nią przez pryzmat historii. Zdaje mi się jednak, że obecnie często natykamy się na instrumentalne jej traktowanie, na uwznioślanie idei i okresów nieprzydatnych w rzeczywistości, pomijanie zaś i lekceważenie tych wartości z naszych dziejów, które mogą być pomocne w rozwiązywaniu aktualnych problemów.

W roku 1949 w liście do Józefa Wittlina Jerzy Giedrojc pisał tak:

Właściwie to jest straszny naród ci Polacy. Lecz jakie jest wyjście? Albo ten naród zmienić i odejść od niego zupełnie, albo starać się przy całej beznadziejności walki walczyć, by był inny. Wybrałem tę drugą drogę. Ale ta druga droga wymaga dużej pobłażliwości dla ludzi. To nie jest pesymizm.

Nie było tak dobrze, jak to się nam dzisiaj wprawia. Ani w Rzeczypospolitej Dwojga Narodów, która była państwem narodów wielu. Ani w II Rzeczypospolitej, pełnej „rachunku krzywd” również narodowych. A dziś jesteśmy jednolici etnicznie, ale walczymy z naszymi Żydami, których nie ma, upatrujemy zagrożenie ze strony mniejszości niemieckiej, pogardliwie traktujemy żyjących w naszych granicach Białorusinów i Ukraińców, Ślązaków podejrzewamy, że są V kolumną. Ponieważ są to wrogowie w gruncie rzeczy mało groźni, musimy tych najgroźniejszych poszukać we własnym gronie. I podzieliliśmy się na plemiona: „Prawdziwych Polaków” i „gorszych Polaków”, pisanych z małej litery. Plemiona te posługują się językiem polskim, ale on ich nie łączy, a dzieli. Inaczej rozumiemy słowa podstawowe: wolność, równość (nie wspominam o braterstwie), kompromis, tolerancja, prawo, sprawiedliwość. Chciałbym być optymistą. Chciałbym, aby powróciła jednoznaczność słów.

Marek Wawrzkiwicz



Nie tylko o świecach, lampach oliwnych i innych

Oszczędność panuje w niebie;
zgaszono wszystkie świece.

William Szekspir, *Makbet*.

W pierwszym tomie *Dziennika* Jana Józefa Szczepańskiego, wśród notatek dotyczących 1946 r., pod datą: 19 września, natknąłem się m. in. na takie oto zdania:

Po kolacji jeszcze godzinę piszę i o 9-tej kładę się do łóżka. Zwykle jeszcze do 10-tej czytam. O 10-tej gaszę świece.

W tym konkretnym przypadku używanie świec nie było wynikiem mody (cóż to zresztą miałyby być za moda rok po zakończeniu wojny), ani problemów z dopływem energii elektrycznej. Inaczej po prostu być nie mogło, skoro do Kasinki Małej, gdzie autor *Dziennika* miał dom wiejski, elektryczność doprowadzono dopiero w 1957 roku.

W jednym z późniejszych swych zapisków Jan J. Szczepański wspomina, że spędziwszy w Kasince dwa pierwsze tygodnie urlopu, oprócz tego, że napisał dwa krótkie rozdziały powieści (*Polska jesień*) i przeczytał dwie książki, wykonał także „do domu rozmaitych świeczników”.

Zdanie mówiące o gaszeniu świecy, zaintrygowało mnie bardzo, wręcz sprowokowało do podjęcia próby przeniesienia się w wyobraźni do czasów minionych. A jedną z ich cech charakterystycznych była rzadkość źródeł sztucznego światła. Rzadkość, jeśli weźmie się pod uwagę ich współczesną nadobecność w niektórych miejscach, szczególnie w wielkich miastach. Co jest wynikiem m. in. wszechobecności kontaktów, przy których użyciu, w bardzo prosty sposób, powoduje się rozbłyśnięcie światła. Kiedy natomiast chcemy skorzystać ze świecy lub lampy naftowej (takie sytuacje mają niekiedy nadal miejsce) musimy wykonać nieco więcej czynności. Lecz to, czy dadzą one światło zależy od nas, jest wręcz w naszych rękach. Zapalenie świecy czy włączenie lampy naftowej, to jedno, baczenie zaś na nie, ze względów bezpieczeństwa, to drugie. Z obu tych punktów wynika jednak to, że człowiek korzystający z tych źródeł oświetlenia, może uważać się za pana/panią światła. Stoi bowiem za jego początkiem, jak i za końcem. Jeśli ktoś uzna to wyrażenie za uczynione na wyrost, a może i za nieadekwatne, niech w takim razie powie, kim wobec tego jest człowiek, który dla rozświetlenia jakiegoś pomieszczenia, korzysta jedynie z palca, doty-

kając nim przycisku w kontakcie? Według mnie nie ma on, choćby znamion takiej władzy. Jeśli wydaje mu się, że jest inaczej, to bardzo się myli. Jest bowiem jedynie odbiorcą prądu elektrycznego zużywanego w urządzeniach (nie tylko tych oświetleniowych), których jest właścicielem. Zaś jego rola, tak naprawdę, sprowadza się do obsługi owych kontaktów, przycisków. Jak również do płacenia rachunków. Lampy elektryczne i gazowe są bowiem jedynie końcówkami sieci elektrycznych lub gazowych. A w takim układzie człowiek spełnia wspomnianą rolę operatora odpowiednich przycisków. Natomiast na inne etapy procesu, którego końcowym efektem jest świecąca lampa, nie ma już żadnego wpływu. Pieczęć nad nimi sprawują wielkie firmy i rządy państw.

Na miano lamp, oprócz tych, które były wypełnione tłuszczem zwierzęcym, jak też tych wykorzystujących oliwę, zasługują jeszcze jedynie lampy naftowe, acetylenowe („karbidówki”) i bateryjne. Także w ich obsłudze przejawiała się swoista samodzielność, a także niezależność człowieka. Od niego bowiem zależało czy te bardzo proste, czy też nieco bardziej skomplikowane urządzenia staną się źródłem światła, jak również jak długo będą pełnić tę rolę.

Wrażenie spowodowane wspomnianą wzmianką w *Dzienniku* autorstwa Jana J. Szczepańskiego było tak silne, że poświęciłem sporo czasu na zaznajomienie się z tematyką oświetleniową, zarówno jeśli chodzi o historię rozmaitych urządzeń będących źródłem światła, znalezienie wzmianek o nich w literaturze pięknej, jak również informacji na temat wierzeń, mitów, obyczajów dotyczących roli światła w życiu człowieka na przestrzeni jego dziejów. Również wiele czasu poświęciłem na pisanie niniejszego szkicu. A wszystko to dlatego, że przeczytałem zdanie: „O 10-tej gaszę świece”.

Światło, którego źródło stanowi lampa naftowa bądź świeczka, jest światłem, że tak powiem, osobistym. Mam na uwadze szczególnie sytuację, gdy z jego wykorzystaniem odbywa się czytanie, albo pisanie. Krąg jasności jaki daje lampa lub świeczka, szczególnie jednak ta druga, jest bowiem niewielki. W związku z tym nawet elementy najbliższego otoczenia pozostają w półmroku, który bardzo szybko przechodzi w mrok. To zaś sprawia, iż osoba czytająca lub pisząca, nie jest rozpraszana przez otaczające ją przedmioty czy też domowników (także wtedy, kiedy zachowują się oni cicho). A to z pewnością jest okolicznością jak najbardziej pożądaną – sprzyja skupieniu. Elektryczna lampa biurowa tylko pozornie daje podobny efekt. Jej światło jest o wiele intensywniejsze od tego, z którego korzystali nasi przodkowie. Jest go też po prostu więcej. Literę, te czytane jak i pisane, widzi się dzięki temu lepiej. Efektem tego jest to, że wzrok mniej się męczy. Ale równocześnie owo mocniejsze światło zwraca uwagę na nazbyt wiele szczegółów otoczenia.

(Dokończenie na stronie 10)